Nr. 4. We Lwowie dnia 5. Lutego 1873. Rok X.



Wychodzi trzy razy na miesiąc każdego 5, 15, 25 we Lwowie. — Kosztuje rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. a wszystkie szkółki ludowe płacą tylko 4 złr. rocznie.

O samochwalstwie.

Stara ojcow naszych przypowieść powiada:
Kto się chwali,
Ten się mali.

Czyli robi małym albo umniejsza sam sobie własną swoją wartość. Również Chrystus Pan powiedział: „jeżeli ja sam chwalić się będę, chwała moja niczem będzie.“

Samochwalców, coby sami dla siebie wytrębywali pochwały, nie często się spotyka, ale pochwalić się nieznacznie, mimochodem, bez wielkiej wrzawy i chałasu, to bardzo wielu dokonywa.

Niedawno słyszałem jak pewien młodzieniec mówił do swoich rówienników:

— Ja tam chwalić się nie lubię, ale powiem wam szczerze, że nigdybym tego nie zrobił co Zygmunt. Wszakże on z Wacławem mówić nie chce dla tego, że jest synem rzemieślnika. Prawda że Zygmunta ojciec majętny, ale mój i majętny i marszałek powiatowy, a jednak z tem się nigdy nie przechwalam. Nie dla pochwały własnej ale muszę wam powiedzieć, że pychy nigdy nie miałem w sobie. Ostatni raz jak dostałem nadgrodę w szkołach, tom przyszedł do domu tak cicho i spokojnie, że wszyscy byli pewni, iż się na egzaminie pokpiłem. Uśmiechnąłem się na to i rzekłem: „a kiedyż to ja się na egzaminie pokpiłem?“ Bo muszę wam powiedzieć nie dla pochwały ale dla prawdy, że w żadnej klasie dwóch lat nie siedziałem, a choć chwalić się nie lubię, to wuj zawsze powiada Zygmuntowi aby mnię naśladował.

W tej chwili posłyszałem szept między słuchaczami:

— Ach jakiż to nieznośny samochwalca!

Wyrok ten był zupełnie sprawiedliwy; mówiący nie dosłyszał tego, podniósł tylko głowę do góry i poszedł do następnych pokoi.

Osądźcież, czy ów młodzieniec nie był samochwalcą? Skorzystał z nadarzonej sposobności, by wygłosić w gronie rówieśników swoich pochwały o samym sobie, które, jeżeli na nie zasłużył, — były wszystkim wiadome. Mnie i tym co te pochwały słyszeli — wydawało się całkiem inaczej, najpierw nic nie wiedzieliśmy o wielkich zasługach ani o wyszczególnieniu się w naukach owego młodzieńca,

owszem znaliśmy go jako ucznia o wielkich zdolnościach — lecz o bardzo miernej pilności. To co umiał, to nie było jego pracą zdobyte — gdyby był zechciał dokładać starań — mógłby był może i celować, tymczasem ów Zygmunt i Wacław — o których z takiem mówił lekceważaniem, tak w naukach jak też i w miłości u współtowarzyszy szkolnych — stali od niego daleko wyżej.

Czyż więc samochwalstwo — chociażby i słuszność miało za sobą — jest zaletą? Bynajmniej, poniża ono wartość zasługi — a w dodatku ośmiesza chwalącego się i szerzy ku niemu mimowolnie niechęć a często nawet pogardę.

Pamiętajcie, iż dobre uczynki same siebie chwalą i wyjednują prawdziwy szacunek i miłość ludzi, co na tym świecie jest najwyższą nadgrodą poczciwego.

PYSZAŁEK.

Pysznił się panicz, że go ubiór zdobił,
Na który własną pracą nie zarobił; —
Kmieć rzekł: jabym większe miał się pysznić prawo
Moją sukmaną, bo mą pracą krwawą
Zebrałem pieniądz, za którym ją sprawił,
Gdy tobie ojciec majątek zostawił.

Jan Zamoyski

Kanclerz i Wielki Hetman Koronny.

(Ciąg dalszy,)

Śmierć króla Zygmunta Augusta, który bezpotomnie osierocił tron Polski, otwiera dopiero Zamoyskiemu szeroki gościniec działania. Dawne prawo orzekało, iż każdy szlachcic osiadły ma głos przy wyborze króla, możni atoli panowie żądali, aby tylko sejm, to jest senatorowie i posłowie brali w tem udział. Zamoyski, jako poseł z województwa bełzkiego, obstawał przy istniejącem prawie, i utrzymał się, poparty stoma tysiącami szabel szlacheckich, którym schlebiało, iż i oni będą dawać swój głos przy wyborze monarchy.

Po pierwszy dopiero raz zobaczyła się Polska zupełnie osieroconą, ukochany jej ród Jagielloński wygasł na Auguście, a prócz książąt szląskich, wprawdzie z rodu Piastów pochodzących, lecz zupełnie zniemczałych, nie było żadnego księcia z panującej rodziny w Polsce.

Trzeba było wybierać albo obcego księcia, albo którego z Polaków. Swojego nie chciano obrać, by przezto nie dać przewagi jednej rodzinie i jej pokrewnym, a z obcych niewiedziano któremu dać pierwszeństwo, tylu bowiem książąt zgłaszało się po koronę Polski, najpotężniejszego w ówczas w Europie państwa. Zamoyski, który od swego wystąpienia między szlachtą rej wodził, przedstawił młodego księcia francuskiego Henryka de Valois, pragnąc przedewszystkiem usunąć, od tronu księcia austrjackiego, którego możni popierali, mając nadzieję, iż przez to wpływ swój i powagę nad drobną szlachtą utrwalą.

Zdanie Zamoyskiego zwyciężyło i Henryk został obwołany królem w roku 1573.

Niedługo jednakże — bo nie całe pięć miesięcy gościł obcy przybysz w Polsce, umknął potajemnie, skoro się dowiedział o śmierci brata sw go króla francuskiego.

Chociaż nie żałowano Henryka, a przecież dotrzymano mu przysięgi aż do chwili, — gdy wszelka nadzieja jego powrotu zniknęła, i dopiero wtedy przystąpiono do nowego wyboru. Znowu możni panowie, a szczególnie Zborowscy i Górkowie chcieli księcia austrjackiego Maksymiljana, lecz Zamoyski obawiając się zniemczenia Polski, znowu stanął na czele szlachty i przedstawił Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego, który niezbite dał dowody rycerskości i wielkiego rozumu. Aby dla swego planu zjednać więcej zwolenników, wniósł Zamoyski, by nowo obrany król pojał za małżonkę Annę, siostrę Augusta, ostatnią z tego rodu. Miłość narodu do szczepu Jagiellońskiego, chcącego widzieć na tronie ukochaną królewnę, przeważyła, a tak Stefan Batory wraz z Anną okrzyknięty został królem.

Znowu Zamoyski wybór przeważył, przezco zyskał taki wpływ w narodzie, iż pomimo knowań wielu możnych przeciwników, został mianowany podkanclerzem, a król Stefan znając jego wpływy, rozum i zacność, chętnie z nim podzielał swoją władzę i we wszystkiem się go radząc, niebawem wyniósł do godności kanclerza.

Nie znaleźć też zapewne w dziejach narodów zacniejszego doradcy króla, wszystkie swoje zdol-

kraju. Nietylko jednakże w czasie pokoju, lecz i podczas wojny stanął on mężnie przy boku monarchy bohatera, przypominającego swą odwagą i rycerskością czasy Chrobrego i Krzywoustego; to też wdzięczny król mianował go po śmierci starego hetmana Mieleckiego — jego następcą. Tak więc Zamoyski po pierwszy raz w Polsce piastował zarazem najwyższy po królu urząd dla spraw wewnętrznych, i najwyższe dowództwo nad wojskiem. I nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. On dotąd przeważnie naukom i pracy piśmiennej się poświęcający, ująwszy miecz, zawładnął nim tak dzielnie, jakby tylko do rzemiosła wojennego został wychowany. Bystrość umysłu, silna do dobrego wola i serce cnotliwe — jedynie dobra swego kraju pragnące, zrobiły go odrazu bohatyrem. Szereg zwycięztw w wojnie moskiewskiej, jak pod Pskowem, Płockiem, Wieliżą, Zawołociem i tylu innemi miejscami, wpletły nowy wawrzyn w skroń ulubionego przez kraj cały męża.

Pomimo tylu wawrzynów wojennych donioślejszej jednakże są jego zasługi w wewnętrznych sprawach krajowych.

Sądownictwo w Polsce, pomimo doskonałych praw narodowi przez Kazimierza Wielkiego i Aleksandra nadanych, z przyczyny niedbałego tychże wykonywania nie zawsze osiągało cel wytknięty, owszem możnym panom, w których ręku władza wykonawcza spoczywała, niejednokrotnie dawało sposobność do nadużyć. Zamoyski chcąc złemu zaradzić, podał królowi wiele wniosków do nowych praw, między któremi najpamiętniejszem dziełem jego jest ustanowienie trybunału dla Korony i Litwy, gdzie wszelkie sprawy, spory i nadużycia rokrocznie w pewnych oznaczonych terminach sprawiedliwie pod bacznym nadzorem roztrząsać się miały. Samo to jedno dzieło już mu mogło zapewnić nieśmiertelne imię w narodzie.

Wdzięczny król nie mając już czem wynadgrodzić zasług swego doradcy i przyjaciela, postanowił spokrewnić się z nim. Zamoyski więc po stracie dwóch żon, Anny Ossolińskiej i Katarzyny Radziwiłłówny zaślubił słynącą z cnót i piękności Gryzeldę Batorównę, bratankę króla. Wesele dostojnej pary, równające się przepychem królewskiemu, odprawiono na zamku krakowskim ze współudziałem całej — rzecby można — Polski. I nie dziw, upojony powodzeniem i sławą naród, składał tym radosnym współudziałem hołd bohaterskiemu swemu królowi i najlepszemu ze swych obywateli za ich czyny i pracę, co Polskę wyniosły na szczyt potęgi i chwały!

Budowa i czynność ciała naszego.

Ciało człowieka z zewnątrz jest pokryte skórą, na której w pewnych miejscach rosną paznokcie i włosy. Skóra u rozmaitych plemion osiedlających ziemię bywa odmiennego koloru: białego, żółtego, czerwonego, brunatnego i czarnego. Składa się ona z dwóch warstw, powierzchownej czyli naskórka, oddzielającego się w skutek naciśnienia lub pod wpływem wezykatorji i z warstwy głębszej, stanowiącej właściwą skórę. W pierwszej znajduje się banonik, który jest przyczyną koloru skóry, w drugiej biorą początek włosy i paznokcie. W różnych miejscach skóry znajdują się otwory, jak naprzykład usta, otwór nosowy itd., a oprócz tego powierzchnia skóry jest usiana drobnemi dziureczkami, czyli porami, przez które wydobywa się pot.

Pod skórą znajduje się warstwa tłuszczu, dosięgająca niekiedy bardzo znacznej grubości, a pod nim napotykamy mięso, składające się z oddzielnych części rozmaitego kształtu i wielkości nazwanych mięśniami czyli muszkułami. Mięśnie zwykle na obudwóch końcach lub tylko na jednym zwężają się i przechodzą w błyszczącą, koloru perłowej macicy taśmę, zwaną ścięgnem, za pomocą której mięśnie przyczepiają się do kości. Wszystkie kości stykają się jedna w drugą, tworząc stawy. Oprócz tego kości są połączone między sobą za pomocą sprężystych tkanek zwanych więzami, albo za pomocą chrząstek, lub też nareszcie przez wzajemne wkraczanie ząbkowatych części. Kości więc służą za stałe rusztowanie miękkim częściom, chronią delikatne a ważne narzędzia wewnętrzne, jak naprzykład mózg, płuca i t. d., a nakoniec służą do ruchu za pomocą kurczenia się mięśni, które podlega woli człowieka.

Żeby wszystkie organy wypełniały swoje naznaczenie, potrzeba aby się odżywiały, za pomocą pokarmu. Pokarmy, które spożywamy, nie mogą służyć za pożywienie dla naszych organów, dopóki nie będą zmienione odpowiednio za pomocą zmiażdżenia i zmieszania z płynami, które wydzielają się w różnycb miejscach przyrządu trawienia. Przyrząd trawienia znajduje się w jamie piersio-

*

wej i brzusznej i składa się z gęby, przełyku, który prowadzi pokarm do żołądka a następnie z cienkich i grubych kiszek. Przyjęty pokarm dostaje się do wszystkich zakątków naszego organizmu za pomocą systemu tętnic, które zawierają w sobie krew czyli pokarm przekształcony. System tętniczy składa się z błoniastych rurek czyli kanałów, które rozgałęziając się na coraz drobniejsze kanaliki dochodzą do wszystkich części naszego organizmu.

Krew płynie po kanalikach w skutek ciśnienia, które wywiera pewien kurczący się organ zawarty w klatce piersiowej i nazwany sercem. Serce zaś bierze tę krew z dwóch źródeł. Pierwsze źródło są to pokarmy w stanie płynnym, które przechodząc przez kiszki zostają wssane przez cieniutkie kanaliki, znajdujące się w ściankach kiszek, z tych kanalików pokarm przechodzi przez system gruczołów, zwanych limfatycznemi, gdzie zmienia się na tak zwaną limfę, która wychodzi z gruczołów w naczynia limfatyczne, zlewające się w jeden gruby pień. Drugie źródło jest to dawniej wyciśnięta w sercu krew, która opłynąwszy cały organizm i zostawiwszy każdej części to, co jej jest potrzebne, wraca, niosąc cząstki zużyte, które nie mogą przynieść organizmowi żadnej korzyści. Krew taka zawierająca części zużyte i pozbawiona swych części pożywnych zbiera się w kilka większych rurek czyli pni, a jeden z takich pni łączy się z wyżej wspomnianym limfatycznym pniem i wlewa się do serca. Te naczynia, które prowadzą krew z organizmu do serca, nazywają żyłami. Do serca więc wlewa się krew zużyta, zmieszana z przerobionym pokarmem, dla tego, żeby krew ta mogła się odnowić i stać się znowu pożywną dla ciała potrzebą, aby się zetknęła z powietrzem.

To zetknięcie się z powietrzem odbywa się w płucach, dokąd serce wypycha krew przed wysłaniem jej do organizmu. Po zetknięciu się z powietrzem, zmieniona i odnowiona krew płynie na powrót do serca, zkad rozbiega się po całym organizmie. Płuca zaś czyli przyrząd oddychania jest to rodzaj błoniastego worka, dokąd powietrze dostaje sie przez usta i nos, przez krtań, tchawicę i oskrzela.

Nie wszystkie jednak zużyte w organizmie naszym części krew odprowadza; część ich wyrzuca się za pomocą przyrządu moczowego, składającego się z nerek, moczowodów, pęcherza i cewki moczowej; część wydziela z kałem, który stanowi resztę niestrawionych pokarmów, część nareszcie wydziela przez pory, zawierające się w skórze, razem z potem.

Wszystkie te czynności odbywają się w organizmie pod wpływem układu nerwowego, który ma początek w mózgu i w mleczu pacierzowym.

Mózg jest siedliskiem władz umysłowych, czucia, myśli i woli; on to wydaje rozkazy, które jak po drutach telegraficznych rozchodzą się po całym organizmie po sznurkach białych, zwanych nerwami. Nerwy rozgałęziając się tak jak tętnice idą do wszystkich części ciała, udzielając mięśniom pobudkę do ruchu, a innym częściom, naprzykład skórze, błonom śluzowym i t. p. własności ruchu ogólnego i właściwego i przenosząc do mózgu wrażenia zewnętrzne.

Dla utrzymania stosunków ze światem zewnętrznym i dla poznawania własności ciał otaczających nas, jesteśmy obdarzeni tak zwanemi przyrządami zmysłowemi. Zmysły: wzrok, słuch, smak i powonienie są opatrzone każdy osobnym przyrządem, mającym własność przyjmowania pewnego gatunku wrażenia, i nerwem właściwym, który łącząc przyrząd zmysłowy z mózgiem prowadzi do tego ostatniego poczute wrażenie. Nakoniec cała skóra posiada własność przyjmowania wrażeń dotykania i ciepła, które także przenoszą się ku mózgowi — ostatecznemu siedlisku wszystkich naszych wrażeń.

Z tego wszystkiego widzimy, że organizm nasz ma ciągłe stosunki z otoczeniem i że życie jest tylko wynikiem wzajemnego oddziaływania organizmu i otoczenia. Z przyrody nas otaczającej bierzemy materjały potrzebne do życia: pokarm, napój, powietrze. żyjąc zaś, staramy się opanować warunki potrzebne do dalszego rozwoju. Otoczenie wywołuje w organizmie naszym ciągłe zmiany, pobudza go do czynności, do przerabiania dostarczonego materjału, do przyswajania mu części użytecznych a wydzielenia części niepotrzebnych, a przez to wywołuje i w otoczeniu również odpowiednie zmiany.

Ten to jest bezustanny wir życia, ciągła zamiana cząstek, ciągły ruch. Dziś nie jesteśmy tymi samymi co wczoraj, bo już nie mamy wielu cząstek, które wczoraj w skład ciała naszego wchodziły, a natomiast przyjęliśmy z zewnątrz czastki, których wczoraj nie mieliśmy. Każdy organizm przebywa młodość, dojrzałość i starość, które zależą od różnego w różnych okresach istnienia stósunku przychodu organizmu z jego

rozchodem. Kiedy przychód jest większym nad rozchód, wówczas organizm rośnie, rozwija się; gdy nabytek równoważy się ze stratami — następuje okres dojrzałości; a gdy straty nabiorą przewagi zaczyna się wsteczny bieg życia a ostatecznie śmierć organizmu.

Dr. J. Stella-Sawicki.

Wycieczki w świat daleki.

PUSTYNIA SAHARA.

(Ciąg dalszy.)

Niemniej straszliwym jak lew, jest tygrys który go prawie przewyższa wielkością. Chytrzej się zdarzy, że wyskakuje nagle z ukrycia, chwyta jeźdźca z pośrodka innych, unosi go z największą szybkością i znika, zanim mają czas go ścigać. Przy swoich napadach nie czeka wyłącznie na noc; często poluje także i w dzień na zdobycz. Wysmuklejszy, lżejszej budowy niż lew, ma dłuższe nogi, łapy potężnemi pazurami opatrzone, głowę okrągławą; ogromne zaś kły, osadzone w szerokich szczękach, świadczą o straszliwości jego ukąszenia. Krótkowłosa skóra jest na głowie i grzbiecie żywego, ciemno żółtego koloru, tylko koło brzucha przechodzi w jaśniejszą, prawie białawą barwę; wszędzie zaś ma czarne poprzeczne pręgi.

Tygrys, jakoteż pokrewne gatunki pantera i lampart, przeciągając pustynię, wybierają swoje kryjówki w wąwozach, lub też w zwaliskach zapadłych



Tygrys.

szy, śmielszy, a nawet odważniejszy niż tamten, nie oznajmia się straszliwym rykiem, który ofiarę odurza; wydaje słaby głos, podobny do mruku kota i napada zdobycz znienacka. Lew odchodzi, gdy opór znajduje; tygrys walczy do ostatniego — i woli raczej śmiercią przypłacić, niżby miał z placu ustąpić. Posiada równie tyle odwagi i siły ile zręczności. Nie ustrasza się żadnego zwierzęcia, a nawet samego człowieka napada. Jego bieg, podskoki, odbywają się z szybkością piorunu. Nieraz

budynków dawno minionej starożytności. Ztąd-to robią swoje na łup wycieczki, wyśledzą wszelką żyjącą istotę i uporczywie ją ścigają. Napadają niespodzianie na obozy koczujących hord i zrządzają między nimi zamieszanie nie dające się opisać. Porywają, co im się uda, i wlokąc swoją zdobycz, lotem strzały z nią uciekają. Napróżno wtenczas spłoszone wielbłądy na obszernej równinie umknąć usiłują, obrony i bezpieczeństwa szukając rozprószone i otoczone bojaźnią śmierci,

widzą dla siebie drogę do karawany zamkniętą bo prześladowca mknąc tuż za niemi, już je przypędził do swego własnego leżyska. Nakoniec zbliża się ostateczna chwila. Jednym susem siada pantera biednemu wielbłądowi na karku, zapuszcza swe pazury w boki, rozrywa okropnemi kłami, i przegryza mu żyły pulsowe na szyi. Do tego i młode nawet wyłażą z jaskini, aby doświadczać swej siły; ofiara nareszcie kończy życie i służy nienasyconym za żer. (D. c. n.)

Zasiew.

Ziarnem zasiał rolnik pole,
Czeka zimą, aż tu wiosną
Same chwasty i kąkole
Na calutkiem polu rosną.
Ledwie czasem kłosek żyta,
Jak przybłęda w cudze strony,
O przytułek niby pyta,
Sam nieśmiało pochylony.

Co się stało? O mój Boże!
Zasiał ziarno a nie plewy,
Zkądże kąkol rość tu może,
Gdzież przepadły tak zasiewy?
Biedny rolnik zadumany,
Oj! nie widzi już nikogo,
Gdy w tem kijem podpierany
Siwy dziadek idzie drogą.

„Niechaj będzie pochwalony,
Szczęść ci Boże bracie miły,
Niech Bóg strzeże twoje plony,
Niechaj w pracy doda siły."
Próżne ojcze twe życzenie,
Moją pracę wiatry zwiały,
Moje zbiory i nasienie
Już przepadły na rok cały.

Już to widać kara Boża,
Choć pracuję całą siłą,
Mam chwast w plonie zamiast zboża,
Zdrowe ziarno w roli zgniło, —
Ja sam nie wiem, co się dzieje.
„Ha mój bracie, już to pono.
Choć się czyste ziarno wsieje,
Lecz gdy w rolę zapuszczoną,
Zawsze takie są zawody,
Zawsze kąkol siew zagłuszy.
Więc na przyszłość bracie młody
Tę przestrogę chowaj w duszy.

Nim się w polu siejba zacznie,
Nim zarzucisz niwę zbożem,
Każdy zagon upraw bacznie,
I przeżegnaj słowem Bożem.
A spokojny czekaj potem,
Niechno ziarno się rozpleni,
Wnet pszeniczka błyśnie złotem,
I żytko się rozzieleni.
Za twe prace, trudy, znoje
Plon obfity znajdziesz w brogu,
Tylko zawsze dziecię moje
Pracuj z Bogiem, pracuj w Bogu.

JOASIA.

Jakóbowa była bardzo ubogą; w izdebce którą zamieszkiwała, niedostatek wyglądał z każdego kącika, a chociaż często nie było w domu ani jednego grosika, ani kawałka chleba, uboga kobieta nie narzekała, tylko westchnęła do Boga, prosząc o ratunek i zmiłowanie. Mała jej córeczka Joasia była to bardzo miła dziewczynka, ale kłopotów matki nie rozumiała, i jak tylko jeść się jej zachciało, krzywiąc się, mówiła:

— Mamo! mnie się jeść chce — mamo daj chleba!

— Zaraz moje dziecko — odrzekła raz matka, o chleb nie tak łatwo, — trzeba na niego pracować, a to ciężko i trudno, ledwo ręce nie poupadają.

— Albo to rękami na chleb się pracuje? — zapytała Joasia.

— Rozmaicie moje dziecko, i rękami i głową, czasem i nogami.

— A ja myślała, że zębami i gębą....

— A to dla czego? — zapytała uśmiechając się matka.

— A bo jem gębą i zębami gryzę. Wczoraj chleb był bardzo twardy, alem póty pracowała zębami aż go połknęłam. Oj, bolały mnie też, bolały, i dla tego mamuniu nie dawajcie mi tak twardego chleba, bo ja za mała jeszcze, żebym na niego tak ciężko pracowała.

— Oj! ty bzduro, bzduro — odrzekła matka z uśmiechem — to nie praca, to jedzenie, bo zębami nikt nie pracuje.

Kiedy matka poszła do roboty, Joasia zastanowiła się nad słowami matki i przypomniawszy sobie bandę cyganów przybyłych do wsi, z której

młoda dziewczynka w tym wieku co ona, bębniąc w bębenek z dzwonkami, tańczyła prześlicznie na murawie i ludzie jej potem rzucali trojaki, klasnęła w rączki radośnie i rzekła sama do siebie:

— Mamunia powiedziała, że zębami nikt nie pracuje, tylko albo rękami, albo głową, albo nogami. Ja żadnej roboty nie umiem, głowę mam małą i ręce niewielkie, ale nogi takie same jak cyganka. Nauczę się więc takiego tańcowania, a potem zarobione pieniądze oddam mamuni.

Zaprosiła więc Walusia, syna kowala, co umiał grać na fleciku, i Rózię z Kasią, żeby jej doradzały czy dobrze cygankę naśladuje. Waluś więc zasiadł na przewróconej ławie, obok niego stanęły dziewczynki, a Joasia zaczęła przeskakiwać z nóżki na nóżkę i wykręcać się w kółko, zupełnie tak jak to robiła cygańska dziewczynka. Trzeciego dnia po tej pierwszej próbie, Joasia tak się wprawiła w taniec, tak zgrabnie przebierała bosemi nóżkami, że ucieszone dziewczynki zaczęły aż klaskać w ręce z radości, a Kasia rzekła:

— Prześlicznie moja Joasiu, już i cyganka lepiej nie tańczyła.

Ponieważ to był sekret i dopiero wtenczas miała powiedzieć wszystko, jak zarobi coś groszy od ludzi i przyniesie je matce, więc Joasia poszła do Matusowej już wiekowej kobiety z prośbą, aby ją oprowadziła po wsi, bo chce tańcowaniem pracować na chleb, żeby matce ulżyć w ciężkiej pracy, jakiej się oddaje dla niej i dla siebie.

— Oj! dzieciaku, dzieciaku — odrzekła Matusowa — albo to ty cyganka? każdy się tylko z ciebie naśmieje i nie da ani grosza, bo skakać to każdy umie. Ale że poczciwe z ciebie dziecko i pragniesz matce pomagać, to cię zaprowadzę do dworu, tam nauczy cię panienka Marynia szyć i robić pończochę, to tam prędzej coś zarobisz, ale nie skakaniem jak wróbel na nitce.

We dworze kazali jednak Joasi przetańczyć, uściskali ją, ucałowali że tak kocha matkę i pragnie jej dopomagać, a potem panienka Marynia kazała jej przychodzić do siebie na naukę, nie tylko szycia, ale pisania i czytania. Dziś już Marynia jest na swojem gospodarstwie, bo od lat dwóch poszła za mąż, Joanka zaś ma lat szesnaście, pani Adamowa, więc dawniejsza Marynia, wzięła ją do siebie na pannę służącą i ma w niej nietylko dobrą sługę, ale najżyczliwszą przyjaciółkę, która przez wdzięczność, że ją nauką wyprowadziła z ciemnoty, w ogień-by prawie skoczyła za swą dobrodziejką. Matka Jakóbowa tak samo pracuje jak pracowała, ale już lżej bo ją córka z pensji czem może to ratuje. Obie przytem zawsze błogosławią panię Adamowę, prosząc Boga przy każdym pacierzu, aby ją wspierał i ratował, a to nie mała rzecz, bo Bóg takiej prośby zawsze mile słucha i wypełnia o co jest proszony.

Zdania i myśli zbawienne.

— Jeżeli chcesz, aby cię kochano, nie rób nikomu najmniejszej przykrości, ale przeciwnie staraj się każdemu uczynić jaką przysługę.

— Śmiać się bez powodu, nigdy nie trzeba. Śmiech taki jest próżnym i także tylko z próżnej głowy wychodzi.

— Nauczycielstwo jest to święte powołanie' bo z istot ciemnych, robi ludzi myślących i rozumnych.

— Szacunek dla nauczycieli jest pierwszym po miłości dla rodziców obowiązkiem. Kto zaniedbuje tego, sam sobie ubliża.

Piramowicz.

Lekarstwo.

(*Naśladowanie z francuzkiego*).

Mała Jadwinia była troszkę chora,
Więc poproszono czemprędzej doktora;
I przybył doktor i za puls ją bierze,
Pokiwał głową, wreszcie na papierze
Zapisał jakieś proszki po łacinie,
Co chociaż gorzkie, uleczą Jadwinię.
Lecz gdy lekarstwo z apteki przybyło,
Jadwinia z całą odpycha ją siłą,
Niechce bo gorzkie, nadaremnie mama
Wlewa w kieliszek i kosztuje sama,
Nic nie pomaga — i choć niby mała,
Swoją mateczkę nad życie kochała,
Krzyczy, aż krzyk jej dom cały przenika,
Że zamiast proszków chce gwałtem piernika
— Wypij córeczko, wypij, rzecz nie wielka,
Prosi ją matka; — dam ci pół karmelka,
Dam cały, wypij!
— Dasz mi dwa mateczko?
— Dam trzy, dam cztery a wypij córeczko?

— Nie, nie wypiję, to takie szkaradne.
— Ale karmelki i słodkie i ładne!
— Nie chcę, nie mogę!
— Słuchaj moje dziecię,
Chcę twego zdrowia, ty wiesz o tem przecie
Wypij, a za to że gorzkie troszeczkę,
Pójdę ci kupić....
— Co kupić?
Laleczkę!
— Dużą?
— Ogromną!
— W różowej sukience?
— Tak!
— Na sprężynach?
— I nóżki i ręce!
— A loczki z włosów mieć będzie prawdziwe?
— A jakże!
— Oczki zamykać?
— Jak żywe;
I koraliki dam dla niej na szyję!
— Dobrze, wypiję.... nie! nie! nie wypiję!"
Na to zdręczona prawie do ostatka,
Na pół ze łzami, na pół z gniewem, matka
Rzecze: „o dziecko! nie wiem jakie słowa
Skłonią cię, ale gdy nie chcesz być zdrowa,
Gdy mimo prośby takeś się uparła,
Więc mię nie kochasz, chcesz żebym umarła!"
— „Nie, nie! ja nie chcę, niech mamunia żyje!"
Dajcie lekarstwo, wypiję, wypiję!
I bez skrzywienia, choć czuła wstręt wielki,
Wypiła proszki do dna, do kropelki.
— O drogie dziecię! tuląc ją do łona,
Rzecze z radością matka rozrzewniona;
Teraz cię kocham, teraz nie połaję;
Widzisz, to nie tak złe, jak się wydaje...
— Aj! mateczko, aż przechodzą dreszcze!...
Aleś płakała.... a to gorsze jeszcze?
Och! żadna gorycz, ukochane dziatki,
Nie jest tak gorzką, jak łzy w oczach matki.

Rozmaitości.

Zadanie do wyrachowania.

Jaś, Józio i Bolcio dostali kosz śliwek do równego między sobą podziału.

Ucieszeni tak smacznym podarunkiem przez figle kosz przewrócili i śliwki wysypały się na ziemię. Chłopaczki rzucili się spiesznie na zdobycz, i zapominając równym o podziale, każdy chwytał ile mógł najwięcej i chował do kieszeni. Wkrótce na ziemi nie pozostało ani jednej śliwki, ale Jaś najstarszy poznał, że ich ma najwięcej, nie chcąc więc braci ukrzywdzić, dał każdemu drugie tyle ile ich każdy nabrał. Józio najlepiej na tem wyszedł, bo poznał, że ma znacznie więcej od braci, więc znowu każdemu udzielił tyle, ile z nich każdy miał po dodatku zrobionym przez Józia.

Wówczas najmłodszy Bolesław zawołał: Ho! ho! to teraz ja jestem w śliwki najbogatszy, ale nie będę gorszy od was, i tak jak wy ze mną i ja z wami się podzielę.

I rzekłszy to, każdemu z braci dał tyle, ile każdy z nich miał, i wtenczas z wielkiem wszystkich zdziwieniem pokazało się, że mają równo po 48 śliwek. Zachodzi więc pytanie: ile śliwek każdy zebrał z ziemi, kiedy się kosz przewrócił i śliwki wysypały?

☛ Znowu nastąpiła przerwa w wydawnictwie „Opiekuna", od kilku tygodni nie odebraliście żadnego numeru, lecz nie moja wina, jabym rad z duszy serca jak najczęściej z wami rozmawiać — przyczyna zwłoki, brak pieniędzy na zapłacenie papieru, druku, obrazków, stępla, poczty — bo pracy mej i zachodów zupełnie nie liczę. W roku bieżącym odebrałem dopiero od 1. stycznia do 6. marca 97 złr. 30 ct., a wysłanie jednego numeru kosztuje od 50—60 złr., przytem z roku przeszłego mam do odebrania przeszło 400 złr. a do zapłacenia za druk przeszło 300 złr. Nic więc dziwnego, że drukarnia nie chce drukować a kupiec nie chce dać papieru — dopóki mu nie zapłacę. I tą razą dostałem kilkaset reńskich i takowe znowu ofiaruję więc „Opiekuna" znowu odbierać będziecie, jednakże upraszam bardzo usilnie o rozszerzanie „Opiekuna" między znajomymi i o nadsyłanie zalegającej prenumeraty, gdyż w razie wyczerpania funduszów nie potrafię zadaniu memu podołać ciągłą ofiarą z mej kieszeni.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor *A. Kisielewski*. Z drukarni K. Pillera.